

Rozmowa z Panem Przemysławem Fenrychem, Szczecin 15-16 grudnia 2015 r.

Czy mógłby Pan opowiedzieć o swoim środowisku rodzinnym, kim byli Pana rodzice, dziadkowie? Czy można powiedzieć, że Pana działalność jest swego rodzaju kontynuacją tradycji rodzinnych?

Przemysław Fenrych: Tak, w jakimś sensie fundament do swojego zaangażowania społecznego dostałem w tradycji rodzinnej. Moja mama była człowiekiem bardzo zaangażowanym, była harcerką, w czasie wojny była w Szarych Szeregach, trafiła do obozu koncentracyjnego, z którego cudem wyszła. Po wojnie była drużynową żeńskiej „Błękitnej Czternastki”, z której harcerki później mocno zaangażowały się w życie rodzinne, były wspaniałymi matkami, i w życie zawodowe, robiąc doktoraty, profesury czy prowadząc życie artystyczne, np. w Szczecinie mieszkała świetna malarka, Joanna Spychalska, harcerka z tej właśnie drużyny. Te kobiety utworzyły ciekawe i aktywne środowisko bardzo pozytywnego, organicznego patriotyzmu.

Z ojcem miałem stosunkowo słaby kontakt, ponieważ moi rodzice się rozstali. Jego wpływ na mnie nie był zbyt duży, natomiast wielkie wrażenie robiły na mnie opowieści o poprzednim pokoleniu. Cała moja rodzina pochodzi z Wielkopolski, ja również urodziłem się w Poznaniu. Mojego dziadka Tadeusza nigdy nie poznałem, ale był dla mnie bardzo ważny. Był oficerem niemieckim. Był Polakiem, który podobnie jak jego ojciec, a mój pradziadek wstąpił jeszcze w XIX w. do niemieckiego wojska po to, by nauczyć się walczyć o niepodległość Polski. Ta idea była bardzo wyrazista i silna w tradycji rodzinnej. Było dwóch braci, Tadeusz i Władysław, którzy zrobili taką karierę wojskową jako Polacy. To było bardzo rzadkie w niemieckim wojsku. Oni zostali oficerami, być może pomogło nazwisko, które ma niemieckie brzmienie, jeśli się nie domyślono, jakie były ich faktyczne motywy. W czasie I wojny światowej walczyli pod Verdun, a po powrocie do Wielkopolski natychmiast przystąpili do Powstania Wielkopolskiego. Dziadek później był założycielem instytucji, która miała za zadanie badać dzieje tego powstania. Tak się chyba rozpoczęły historyczne tradycje w naszej rodzinie. Dziadek pracował jako historyk, nie był nim z wykształcenia, mój ojciec był historykiem, ja jestem historykiem i jeszcze mam dzieci z wykształceniem historycznym, więc tradycja w rodzinie się rozwija. Dziadek później został komendantem podoficerskiej szkoły w Śremie, potem był przez dwie kadencje (1930-1938) burmistrzem Krotoszyna, w ten sposób pojawiły się w naszej rodzinie tradycje samorządowe. W czasie II wojny światowej chciał walczyć, ale uznano, że jest zbyt stary i nie trafił już do wojska, natomiast Niemcy i tak go znaleźli jako powstańca wielkopolskiego i zamordowali w Buchenwaldzie.

Tradycja patriotyczna związana jest również z nieznanym mi osobiście stryjcem, który walczył w Armii Krajowej, a jako 17-letni żołnierz AK był w Tarnowie na Gestapo załuczony kijami na śmierć. Nie wiemy gdzie jest jego grób, tylko symboliczny grób jest w Tarnowie.

Natomiast Władysław Fenrych, czyli brat dziadka, zaginął gdzieś na Wschodzie w 1939 roku. Nie ma go na listach katyńskich, nie wiadomo gdzie zginął, ale ostatnio go widziano w Twierdzy Brzeskiej. Potem ślad po nim zaginął.

Trzeci z braci (mówię o braciach mojego dziadka), był biznesmenem. Założył znaną do dzisiaj markę Pudliszki. Wspólnie z moim dziadkiem, czyli swoim bratem oraz szwagrem (mężem swojej siostry) zakupili wieś Pudliszki, okoliczne ziemie i folwarki, i zaczęli w nowatorski sposób produkować ketchup, fasolkę, groszek itp. Z dużym sukcesem. A co istotne, to był biznes „wrażliwy społecznie”. W opowieściach pozostała troska brata dziadka, Stanisława Fenrycha, dotycząca pracowników. Budował im domy by mieszkali w wygodnych warunkach, utworzył szkołę, boiska sportowe, w obrębie zabudowań gospodarczych była tzw. ludzka obora. Pracownicy mogli przyprowadzać swoje krowy, które następnie były oporzędzane w ramach pracy gospodarstwa, każdy kto przyprowadził krowę otrzymywał tyle

mleka ile potrzebował do swojego gospodarstwa, natomiast to co zostawało było przetwarzane na znakomite pudliskowskie serki i cukierki „krówki”. To dużo mówi o społecznej wrażliwości rodziny. Przodkowie się na tym za bardzo nie wzbogacili, ponieważ cały czas inwestowali, później przysła wojna, zostali wysiedleni przez Niemców, a następnie wszystko zabrali bolszewicy. Na tym się skończyło. Natomiast pozostała pamięć. Gdy w gminie Krobia przedstawiam się jako Fenrych, to patrzą na mnie z szacunkiem, a gimnazjum w Pudliskach nosi imię Stanisława Fenrycha.

To jest taka rodzinna tradycja, którą się mocno szcycimy i która jest pewną motywacją do tego, by nie siedzieć z boku z założonymi rękoma.

A jak wyglądała historia Pańskiego zaangażowania, droga Pana edukacji...

Przemysław Fenrych: Tak się złożyło, że kiedy miałem 13-14 lat przeprowadziliśmy się z rodziną z Poznania do Szczecina (ojciec dostał posadę kustosza w muzeum na Wałach Chrobrego), szkołę średnią skończyłem zatem w Szczecinie. Byłem kompletnie niepokodzony z faktem, że oto ja, poznaniak, stałem się teraz szczecinianinem. Nie czułem się szczecinianinem absolutnie i kiedy tylko pojawiła się taka możliwość, pojechałem na studia do Poznania. W czasie studiów byłem zatem „Przemkiem z Poznania”. Tam trafiłem do Duszpasterstwa Akademickiego Ojców Dominikanów. Po tym fundamencie rodzinnym to właśnie to duszpasterstwo było podstawową szkołą zaangażowania społecznego i samego pomysłu, że należy się społecznie angażować, oraz że to zaangażowanie musi być oparte o jakiś system wartości. Ja ten system wartości odnajdywałem w chrześcijaństwie. To było chrześcijaństwo bardzo otwarte, z wielką przyjemnością dałem się kształtować dominikanom, do dzisiaj wspominam fantastyczne rozmowy z ojcem Jackiem Salijem, który jest moim przyjacielem. Pamiętam jego znakomitą książkę „Miłość nieprzyjaciół w Polsce”, którą wydał pod koniec lat siedemdziesiątych w Éditions du Dialogue w Paryżu, która była powielana następnie w drugim obiegu. Pamiętam dyskusje z ojcem Ludwikiem Wiśniewskim, z którym miałem okazję prowadzić pogłębione rozmowy (zapraszał mnie do swoich duszpasterstw najpierw w Gdańsku, potem w Lublinie, wreszcie we Wrocławiu – stąd moje znajomości z tamtejszymi środowiskami opozycyjnymi, zwłaszcza z gdańskim Ruchem Młodej Polski). Znakomicie wspominam głębokie rozmowy z ojcem Andrzejem Kłoczowskim, z ojcem Joachimem Badenim, z ojcem Konradem Hejmo, z wieloma innymi dominikanami, którzy mieli takie połączenie religijno-patriotyczne, bez zadęcia, z miłością nieprzyjaciół, z wielkim szacunkiem dla myślących inaczej, ale jednocześnie z wyrazistą potrzebą zaangażowania się zgodnie z tym systemem wartości. To był zdecydowanie mój początek.

Po studiach wróciłem do Szczecina, ponieważ zaproponowano mi zatrudnienie w powstającej wówczas Wyższej Szkole Pedagogicznej, gdzie zostałem asystentem na historii. Spędziłem tam jednak tylko dwa lata. Za religianctwo, chodzenie na pielgrzymki i zaangażowanie opozycyjne wywalono mnie z hukiem. Zostałem przeniesiony do pracy badawczej. Teoretycznie. System prowadzenia tych badań był tak dalece zakłamywany, że nie mogłem się na nie zgodzić. Pamiętam badanie socjologa, ówczesnego dyrektora Instytutu Zachodniopomorskiego, który był moim bezpośrednim zwierzchnikiem, który badał poglądy polityczne młodzieży szczecińskiej. W tym celu pojechał na obóz ZMS-u, gdzieś nad morze. Badał zatem poglądy zetemesowców, którzy jednocześnie mieli przekonanie, że on wie, co kto napisze. Bardzo się zdziwił, że 3 procent jego respondentów nie podzielało poglądów socjalistycznych. Ten rodzaj badań mnie nie interesował. Poprosiłem rektora, na co on się zgodził, by przeniósł mnie do biblioteki. Stwierdziłem, że katalogowanie książek będzie pożyteczniejsze. Okazało się jednak, że KW PZPR w Szczecinie przeszkadzało to, że chodzę po tych samych korytarzach, po których chodzą studenci. Powiedziano to bardzo wyraźnie. Prowadziłem wtedy na zaproszenie ojca Huberta Czumy wykłady z historii narodu i Kościoła w Polsce. Raz w tygodniu w Duszpasterstwie Jezuitów i Duszpasterstwie Chrystusowców, a raz w miesiącu w Duszpasterstwie Akademickim w Gorzowie Wlkp. u ks.

Witolda Andrzejewskiego. Więc zamiast 15 czy 20 nieco znudzonych studentów na obowiązkowych zajęciach (choć, co ciekawe, oni wspominają zajęcia ze mną dobrze), miałem 30, czasem 50, a w porywach nawet 300 słuchaczy, którzy chcieli przyjść i poświęcić wieczór na to, żeby rozmawiać. To było tuż przed „Solidarnością”. Strasznie się to nie podobało Służbie Bezpieczeństwa. Kiedyś wezwano mnie na przesłuchanie, na którym ubek zrobił mi godzinny wykład, który był złożony z tych fragmentów moich wykładów, które im się nie podobały. Słuchałem z zainteresowaniem, a na zakończenie powiedziałem temu ubekowi, że „w zasadzie ze wszystkim się zgadzam, choć sam nie wyraziłbym tego aż tak ostro jak pan to zrobił”. To przesłuchanie było wiosną 1980 r., więc ta kwestia nie miała już dalszego ciągu. Tak więc za te wykłady, na życzenie Komitetu Wojewódzkiego znów zostałem przeniesiony, tym razem do Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej (dzisiejszej Książnicy Pomorskiej). Tym razem miałem klasyfikować książki (to ciekawa praca) w sali, z której nie dawało się wyjść bez kontroli. Ale to nam nie przeszkodziło później w tworzeniu bibliotecznej „Solidarności”.

W tym czasie zaczęliśmy też z przyjaciółmi takimi jak Michał Plater Zyberk, Edmund Bilicki, Jan Tarnowski, Zbyszek Szymański, Wojtek Gołąb itd. tworzyć środowisko, które później utworzyło Szczeciński Klub Katolików. Robiliśmy wspólnie takie wydarzenia jak trybuna duszpasterska na temat etyki studiowania, tłumne spotkania na temat etyki życia rodzinnego, rajdy pielgrzymkowe po Pomorzu Zachodnim, w czasie których stawialiśmy krzyże przydrożne w PGR-owskich wioskach itd. Jak tylko wybuchła „Solidarność” to natychmiast się zarejestrowaliśmy jako Szczeciński Klub Katolików.

Co zresztą pozwoliło Państwu przetrwać po wprowadzeniu stanu wojennego...

Przemysław Fenrych: No tak, taka jest opowieść. Pan Michał Siedziako zbadał dokładnie, jak to wyglądało. Choć de facto byliśmy Klubem Inteligencji Katolickiej, to z różnych powodów nazwaliśmy się Szczeciński Klub Katolików. Kiedy miejscowy „wyznaniowiec” – pan Kołodziejek - wezwał naszego prezesa (ja już byłem internowany) na przesłuchanie i powiedział, że trzeba zawiesić działalność klubu, to prezes przeczytał przedstawione mu pismo i stwierdził, że to nas nie dotyczy, bo my nie jesteśmy Klubem Inteligencji Katolickiej. Kołodziejek się zdziwił: „To kim wy jesteście?” – My jesteśmy Szczecińskim Klubem Katolików... No i tak się stało, że byliśmy jedyną w całej Polsce niezawieszoną organizacją katolicką, która legalnie działała w stanie wojennym. Ja byłem internowany, więc za bardzo działać nie mogłem, ale koledzy działali, głównie prowadząc działalność charytatywną, a później, kiedy sam już byłem na wolności, działaliśmy mocno edukacyjnie.

No właśnie. Ale wróćmy może jeszcze na chwilę do okresu „Solidarności”.

Przemysław Fenrych: Traf chciał, że kiedy wybuchły strajki, ja byłem z rodziną na wakacjach w Gdańsku. Nie poszedłem tam jednak pod Stocznnię, tylko natychmiast wsiedliśmy w pociąg i przyjechaliśmy do Szczecina. Tu od razu poszedłem pod Stocznnię Warszawską. I to było ważne dla mnie osobiście, ponieważ ja wtedy po raz pierwszy poczułem się szczecinianinem. Psychicznie i duchowo jestem szczecinianinem od sierpnia 1980 r. Widziałem jak miasto reaguje na to co się dzieje. Natychmiast zrobiliśmy strajk solidarnościowy w bibliotece, mnie wybrano na przewodniczącego Komisji Strajkowej, a jako taki byłem przy podpisywaniu szczecińskich porozumień. Później zorganizowaliśmy Komisję Zakładową Solidarności, jej prezesem został Jacek Paczkowski, nasz szef poligrafii bibliotecznej, co umożliwiło szereg rozmaitych działań. Ja zostałem jego zastępcą. Stwierdziliśmy, że potrzebne jest myślenie o sprawach bibliotekarskich w skali ogólnopolskiej i zaprosiliśmy do Szczecina bibliotekarzy z całej Polski. To było wielkie wydarzenie, zjechało się mnóstwo ludzi reprezentujących biblioteki podległe różnym resortom. Na tym właśnie zjeździe w Szczecinie postanowiliśmy utworzyć komisję solidarnościową, która miała się zająć sprawami

bibliotekarskimi. Podkreślam, że bibliotekarskim, a nie bibliotekarzy, bo rzeczywiście, nawet kiedy dzisiaj przeglądam dokumenty z tamtych lat, okazuje się, że sprawami bibliotekarzy się nie zajmowaliśmy, tylko zbiorami, dostępnością prohibitów, tym, żeby te książki nie niszczały itd. Była to prawdziwa troska o dobro kulturowe w bibliotece. Ja zostałem przewodniczącym tego, nazwanego bardzo barokowo tworu, czyli Ogólnopolskiej Międzybibliotecznej Komisji Porozumiewawczej Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Jeździłem wówczas po bibliotekach w całej Polsce, dużych i małych. Wykonaliśmy bardzo dużą pracę.

Kiedy w Szczecinie był zjazd regionalny „Solidarności”, to ja już się odżegnywałem od dodatkowych funkcji, bo już nie byłem w stanie udźwignąć wszystkiego, ale niespodziewanie, bez uzgadniania ze mną, bodajże pracownicy Domu Towarowego Centrum, zgłosili mnie do Zarządu Regionu Solidarności. Pewnie mnie znali z moich działań w SKK. Po długim zastanowieniu stwierdziłem, że ten zarząd to się pewnie będzie spotykał raz na miesiąc, może raz na kwartał, to jakoś to wytrzymam, no i się zgodziłem. Każdy miał kilka minut na prezentację tego, co chce w ramach zarządu robić, ja też występowałem i zupełnie niespodziewanie dostałem czwartą czy piątą kolejność głosów. To było więcej niż otrzymali starzy wyżeracze solidarnościowi. W czasie przerwy podeszli do mnie ludzie ze stoczni i powiedzieli, że ja koniecznie muszę być w prezydium i zajmować się tam informacją. To była ciężka decyzja, trzeba było zostawić wszystko, co robiłem dotychczas, ale zgodziłem się. Zostałem zatem członkiem Prezydium Zarządu Regionu. Byłem odpowiedzialny za informację związkową, byłem również delegatem na Zjazd Krajowy w Oliwii oraz rzecznikiem prasowym ZR. Takie funkcje pełniłem przez pół roku.

Powstał wówczas pewien spór, który prowadził ZR z „Jednością”, a który ja, jako odpowiedzialny za informację, musiałem jakoś rozstrzygnąć. Dotyczył on tego, czy „Jedność” ma być pismem niezależnym pod parasolem związkowym, czy ma być organem związku. Większość w ZR uważała, że tak jak PZPR ma swój organ w postaci „Głosu Szczecińskiego”, tak i „Solidarność” musi mieć swój organ, którym powinna być „Jedność”. Dziennikarze natomiast uważali, że nie. Że pod parasolem związku musi powstawać wolna prasa, która będzie w sposób niezależny pisać o tym, co nas otacza, a czasem może krytycznie napisać nawet o związku, jeśli tak uzna. Zaproponowałem rozstrzygnięcie tego sporu w taki sposób, który nałożył na mnie dodatkowe obowiązki, ale też takie, które zostało przyjęte. Powiedziałem, by „Jedność” była takim pismem, jakim chce być, niezależnym, a my jako związek będziemy bronić tej niezależności, natomiast by zarząd mógł mówić swoim głosem, stworzymy własne pismo, równoległe, które będzie dziennikiem. Dziennik ukazywał się pięć razy w tygodniu, w nakładzie niebagatelnym, 10 tys. egzemplarzy. Rozprowadzaliśmy go metodą ABC do poszczególnych zakładów pracy. Zawoziliśmy go do dużych zakładów A, one przekazywały go dalej, do mniejszych zakładów B, a te z kolei jeszcze do mniejszych C. Ukazało się 99 numerów, a setny został zdjęty z maszyn 13 grudnia 1981 r. Po mnie wtedy o drugiej w nocy przyszli panowie i mnie internowali. O 2.15 przyjechali po mnie stoczniowcy przysłani przez Mietka Ustasiaka, ale zobaczyli ślady milicyjnego samochodu i już do środka nie wchodzili.

Byłem wtedy członkiem Prymasowskiej Rady Społecznej. Władze obiecały prymasowi Józefowi Glempowi, że nikt z członków tej rady nie będzie internowany, tymczasem trzech członków było internowanych, przy czym ja 11 miesięcy. Wielokrotnie się upominały o mnie rozmaite środowiska: Prymas, przewodniczący Społecznej Rady Stanisław Stomma, jacyś poznańscy adwokaci, podobno w mojej sprawie przychodziło mnóstwo listów, ale uznano, że jestem pyskаты, więc siedziałem dalej. Raz tylko dostałem przepustkę w sierpniu, poszedłem wtedy na pielgrzymkę warszawską (szła już tam moja małżonka), na której mówiłem cztery konferencje (o miłości nieprzyjaciół i wolności w niewoli), a za każdą z nich dostałem dodatkowy miesiąc internowania. Poza tym, że mnie uwięzili, a żonę wyrzucili z pracy, to żadnych innych szykan wobec mnie nie stosowali.

24 listopada 1982 r. wyszedłem z internowania. Następnego dnia było posiedzenia Rady Prymasowskiej, na które od razu pojechałem. Uznałem, że mam zbyt widoczne nazwisko by bawić się w konspirację, dlatego musiałem

działać w sposób jawny, legalny, ale równocześnie opozycyjny. Udało mi się to robić w ramach Szczecińskiego Klubu Katolików, który (jak już wspomniałem) nie był zawieszony. Podejmowaliśmy bardzo różnorodne działania, np. tygodnie społeczne. Pierwszy tydzień społeczny był w listopadzie 1983 r. Było to wydarzenie w Szczecinie niebywałe. To był Tydzień Nadziei Chrześcijańskiej, na który przyjechały takie postacie jak Tadeusz Mazowiecki, który w kościele ojców Jezuitów, gdzie mieliśmy swoją siedzibę, zgromadził, według naszych obliczeń, trzy tysiące ludzi. Ja miałem honor prowadzić to spotkanie. To było coś niebywałego. Była także pani Józefa Hennelowa, był ojciec Hubert Czuma, który wtedy już nie był w Szczecinie, tylko w Radomiu, ale przyjechał na Tydzień Nadziei Chrześcijańskiej. Wydarzenie było niezwykle, a pamiętajmy, to był 1983 rok, trwał ciągle stan wojenny. Regularne wykłady klubowe odbywały się dwa razy w tygodniu, we wtorki i czwartki, na które zawsze przychodziło co najmniej kilkadziesiąt osób. To była oaza wolnego słowa tak naprawdę. Kiedy mówimy o wolnym słowie w kontekście gazetek, to bardzo dobrze, bo prasa odgrywała ogromną rolę, ale to żywe słowo, które działo się w Szczecińskim Klubie Katolików, w moim przekonaniu odgrywało tak samo dużą rolę. Myślę że wiele z wypowiedzianych tam słów miało szerszy zasięg niż np. „Obraz”. Chyba nie miał zasięgu trzech tysięcy ludzi, jak spotkanie z Mazowieckim. Te spotkania dwa razy w tygodniu ze znakomitymi postaciami z całej Polski to było coś. Zaczęliśmy również wydawać i powielać na maszynie piśmko „Domysły” (w latach 70-tych pierwsze w Szczecinie piśmko poza cenzurą), które w latach 80-tych kontynuowaliśmy pod nazwą „Korzenie”.

Kolejny temat, który podejmowaliśmy to były zagadnienia etyki pracy. To była próba działań solidarnościowych, ale legalnych. Regularnie organizowaliśmy w domu parafialnym w Maszewie sympozja na temat pracy. W połowie lat osiemdziesiątych w kościele św. Stanisława Kostki zrealizowaliśmy dużą, ogólnopolską konferencję Duszpasterstw Ludzi Pracy. Zjechała cała solidarnościowa elita z Polski. Pamiętam, że był Andrzej Wielowieyski, Andrzej Stelmachowski, Jerzy Kropiwnicki, cała wierchuszka, która akurat nie siedziała. Odbyła się bardzo interesująca dyskusja publiczna i wiele innych spotkań, mniej publicznych. To było takie pokazywanie, że nie całkiem nas zdławiono, że jednak działamy. To był typ działania równoległy do działań ks. Jerzego Popiełuszki. Oprócz tego były działania charytatywne.

Ja po internowaniu nie zostałem wyrzucony z pracy. Stosowano wobec mnie politykę „utrzymywania na oku” - jak zwolnią, to nie wiadomo, co będzie robił, a wiadomo, że coś na pewno, bo z czegoś trzeba żyć. Ja też nie byłem chętny, by sam rzucać pracę, bo miałem już dwójkę dzieci, a w drodze trzeciej. Pracę na szczęście zaproponował mi ksiądz biskup Kazimierz Majdański. Od 1983 r. stałem się korespondentem diecezjalnym i pracowałem w Kurii Diecezjalnej jako redaktor miesięcznika dla kapłanów „Prezbiterium”. Byłem współpracownikiem szefa Biura Prasowego Episkopatu Polski ks. Alojzego Orszulika, wysyłałem informacje do biuletynu, który wydawał poprzednik KAI. Oprócz tego, pod patronatem ks. biskupa Jana Gałęckiego organizowaliśmy letnie wykłady dla wczasowiczów w kościołach w różnych miejscowościach letniskowych. Jeździliśmy na nie sami, zapraszaliśmy też ludzi z Polski i to miało całkiem sporą frekwencję. Jaki wpływ odegrało, nie wiem, ale to był jeden z elementów budowy społeczeństwa obywatelskiego, pokazywaliśmy, że wolne słowo istnieje, że jako Polacy będziemy sobie gadać o czym chcemy, a nie tylko o tym, na co nam pozwalają.

Przejdźmy może zatem do 1989 r. jak to się stało, że zaangażował się pan w działalność OKP?

Przemysław Fenrych: Byłem nie tylko działaczem OKP, ale też inicjatorem jego utworzenia. Wcześniej zostałem zaproszony do Komitetu przy Lechu Wałęsie w Warszawie.

Pamięta Pan przez kogo?

Przemysław Fenrych: No właśnie do dziś nie wiem przez kogo, kto to zainspirował. Zaproszenie przyszło od Wałęsy, ale kto go do tego zachęcił, to nie wiem. Podejrzewam Andrzeja Wielowieyskiego, bo z nim sporo współpracowałem, ale pewności nie mam. W każdym razie zostałem członkiem komitetu. Był w nim również Andrzej Milczanowski, Edek Radziewicz i Artur Balazs od nas. Doszliśmy do wniosku, ale każdy osobno, że trzeba by odpowiednik takiego komitetu zrobić również w Szczecinie, dlaczego by nie? Ja przyjechałem z tym pomysłem do swojego środowiska i Włodek Puzyna pamięta, że to ja przyjechałem z tym pomysłem, ale do środowiska solidarnościowego przyjechał z tym pomysłem Edward Radziewicz, i w tamtym środowisku on jest pamiętany jako inicjator. Nie wiem, czy Balazs też inicjował coś takiego, w każdym razie mniej więcej w tym samym czasie wróciliśmy z tego Komitetu przy Lechu Wałęsie i stwierdziliśmy, że musimy to powielić w Szczecinie. No i zaczęliśmy go robić.

No dobrze, ale to nie było proste, szczególnie po 1988 r., który pokazał, że zapal 1980 r. nie wróci...

Przemysław Fenrych: Nie, nie było proste, ale w środowisku, w którym się obracałem mieliśmy dużo zapala. Naszą grupę tworzyły różne środowiska, z jednej strony była „Solidarność” i myśmy właśnie w niej byli, chociaż ja, jako pracownik kurii, już nie byłem członkiem tej odradzanej „S”. Trzeba jeszcze powiedzieć, że Obywatelski Komitet Porozumiewawczy Ziemi Szczecińskiej (OKP) powstawał jako nieaprobowany przez wszystkich przedstawicieli dawnej „S”. Ten sposób budowania komitetów obywatelskich był krytykowany przez środowisko związane z Marianem Jurczykiem, Stanisławem Wądołowskim, Stanisławem Kocjanem, czyli przez główne postacie szczecińskiej „S”. Oni uważali, że trzeba działać inaczej, trzeba domagać się uznania „Solidarności” sprzed stanu wojennego z jej władzami, a nie tworzyć nowy związek pod starą nazwą. Nie chcieli iść z nami (uczestniczyłem w rozmowach z nimi), a później tworzyli własny związek pod nazwą „Solidarność ‘80”. Spór miał rozmaite przyczyny, personalne, ideowe. To, co ostatecznie wygrało i doprowadziło do „okrągłego stołu” to była myśl, że trzeba tworzyć „S” od nowa, wykorzystując rozmaite kruczki prawne, to było tworzenie komisji zakładowych, czekanie na decyzje sądu czy się zgodzi, oczywiście sąd się nie zgadzał, ale przez ileś czasu można było działać. Z kolei środowisko związane z Jurczykiem było bardziej pryncypialne. Uważali, że niesłusznie nas zawieszono, że to było bezprawie, więc teraz muszą nas po prostu odwiesić i tyle. Pomysł, by ponownie rejestrować „S” był dla nich nie do przyjęcia. Próbowaliśmy negocjować, były cztery osoby z Zarządu Regionu, które jednocześnie były w Szczecińskim Klubie Katolików (Mietek Ustasiak, Ewaryst Waligórski, Jasiu Tarnowski i ja). Próbowaliśmy połączyć te dwa sposoby myślenia, w imię tego, że musimy być razem, ale to niestety spaliło na panewce. Do porozumienia nie doszło. Wówczas ten spór był dla mnie osobiście bardziej dotkliwy, niż ewentualne kłody rzucane nam pod nogi przez komunistów.

Ale wracając do wątku, z jednej strony była „Solidarność” (m.in. Edward Radziewicz, Andrzej Milczanowski, Longin Komołowski, Józef Kowalacyk), z drugiej strony było środowisko inteligencji (takich jak Jerzy Zimowski) nieraz działającej wcześniej w tzw. poziomych strukturach PZPR, a później w opozycji czasów stanu wojennego (np. Marek Tałasiewicz), byli również działacze szczecińskiego Klubu Katolików, który też wszedł w ten Komitet Obywatelski, byli rolnicy związani z „Solidarnością” Rolników Indywidualnych (m.in. Artur Balazs).

Czy mógłby Pan opowiedzieć o pracy OKP? Jak przebiegały spotkania, jak podejmowano decyzje? Jak Państwo finansowali swą działalność?

Przemysław Fenrych: Szczerze mówiąc niewiele pamiętam z tej codzienności z tego okresu. Był taki zamęt, takie mnóstwo rozmaitych zaangażowań... Pamiętam, że nasze spotkania były bardzo burzliwe, ale równocześnie dosyć solidarne. Ja w każdym razie wspominam je jako spotkania z dużą nadzieją, ale nie potrafię przypomnieć sobie konkretnych faktów. Mam w głowie takie obrazki tych spotkań, ale brakuje mi konkretnych faktów. Jak zazwyczaj byłem odpowiedzialny za informację, jako członek Komitetu przy Lechu Wałęsie byłem w jakimś stopniu łącznikiem między Warszawą a

Szczecinem, należąc do środowiska Klubów Inteligencji Katolickiej przenosiłem w pracę OKP doświadczenia i przemyślenia tego środowiska.

Były dwie fazy działań Komitetu. Przed wyborami i po wyborach. Przed wyborami przewodniczącym był Mietek Ustasiak. Zasadniczą kwestią było organizowanie wyborów 1989 r. Mieliśmy pełną świadomość, że zostało przed nami postawione zadanie, na zdrowy rozum niewykonalne. Komuna miała cały potencjał do tego, by przygotować się do wyborów, a my nie mieliśmy nic. Poza ogromnym potencjałem dobrej woli. Cały wysiłek, żeby „S” się odrodziła, żeby stworzyć pismo, ulotki, żeby jeździć w teren, bo przecież mieliśmy świadomość, że działanie w samym Szczecinie to za mało. Pamiętam olbrzymi wysiłek Antoniego Kadziaka w zakresie budowy komitetów terenowych. Ja byłem jak zwykle odpowiedzialny za informacje. Pisałem ogromną ilość ulotek, jeździłem na spotkania wyborcze naszych kandydatów, zwłaszcza z Mietkiem Ustasiakiem, byłem jednym z jego asystentów w wyborach. Ktoś jeszcze się teraz do tego mocno przyznaje. Byliśmy, nadal jesteśmy, mocno zaprzyjaźnieni z Mietkiem, i w jakimś sensie torowałem wtedy tę jego senatorską drogę. Zresztą niewiele brakowało, bym to ja startował w wyborach na senatora, ponieważ SKK miał wystawić swojego kandydata. Zarząd klubu zastanawiał się, czy to mam być ja, czy Mundek Bilicki. Uznano, że ja mam pięć córek, więc muszę zostać w Szczecinie, a nie jeździć, więc Mundek będzie senatorem. Tak w każdym razie mi to zaprezentowali. Ja się z tym zgodziłem, a później dostałem jeszcze cięższe brzemie na plecy. W każdym razie ja pamiętam, że zajmowaliśmy się przede wszystkim kampanią wyborczą. To była zasadnicza sprawa. Mnóstwo rozmaitych spotkań. Wyrobiłem sobie wówczas taką formułę, która bardzo cieszyła ludzi. Na koniec tych wszystkich prezentacji, programów itd. mówiłem, jaka jest technika wyborcza: „tutaj będziecie mieli tyle i tyle nazwisk, pokazywałem i mówiłem z naciskiem: resztę skreślić”. To było takie moje powiedzonko, które wywoływało aplauz słuchających.

Jak Państwo sobie radzili w codziennej pracy, mając na względzie te dysproporcje o których pan wspominał pomiędzy potencjałem władz a waszym?

Przemysław Fenrych: Bazowaliśmy przede wszystkim na braku zaufania społeczeństwa do mediów. Na tym, że prasa kłamie, telewizja kłamie, i że wartościowsze są ulotki. Ducha dodawały nam nawet spostrzeżenia samych dziennikarzy, tych reżimowych. Pamiętam, że uczestniczyłem w jakimś spotkaniu telewizyjnym. Wpuszczono nas już wtedy na te „salony”, co było dla nas nowe. Budziliśmy pewien szok. Pamiętam wypowiedź dziennikarki Głosu Szczecińskiego, która się dziwiła, że my mówimy zupełnie innym językiem niż oni. I my właśnie na tym bazowaliśmy, na tym innym języku. Reżimowi dziennikarze mieli styl, z którego trudno im było wyjść. Pamiętam, jak zamówiliśmy jakiś plakat wyborczy, zwróciliśmy się z tym do profesjonalnego plastyka. Plakat, który nam przyniósł nadawał się wyłącznie na VIII Zjazd PZPR. Cała symbolika, styl malowania, były dla nas nie do przyjęcia. Druga strona to zauważała. Marna ulotka wydawana w niewielkiej ilości egzemplarzy więcej działała niż wielkonakładowa propaganda w starym stylu. W telewizji my niemal przez ekran czuliśmy, że społeczeństwo jest po naszej stronie, że jesteśmy inni, i że ta inność zwraca uwagę. Ja tak to wspominam. Natomiast nie pamiętam żadnych konkretnych działań. Sporo czasu minęło. To było niesamowicie wielkie zaangażowanie. Ja jeszcze działałem po tej stronie kościelnej. Kościół dostał zgodę na wydawanie pisma, które nazywało się początkowo „Wczoraj i Dziś”. Redaktorem naczelnym został Jan Antoni Kłys, a ja byłem jego zastępcą. W tym piśmie też mówiliśmy o konieczności zmiany itd. W każdym razie zajmowała mnie jeszcze działalność w tej sferze.

Pamiętam, że zaczynały się już też pierwsze tarcia pomiędzy „S” a Komitetem Obywatelskim, kto tu jest ważny, ale szczegółów nie pamiętam.

Ale to było jeszcze przed wyborami 4 czerwca?

Przemysław Fenrych: Tak. Co prawda na takiej zasadzie, że jeszcze się uśmiechaliśmy, ale już było, zaczynało się. Było widać, że komitet wyrasta na coś bardzo silnego. Po stronie solidarnościowej, gdzie była siła i oparcie, bo przecież bez „S” byśmy w życiu nie wygrali, już były takie zapytania, czy ci z OKP mają świadomość, że to oni nam podlegają. Myśmy z kolei myśleli, że jesteśmy grupą obywatelską i jesteśmy partnerami i jesteśmy też w „S”. Wtedy nie miało to jeszcze większego znaczenie, aczkolwiek symptomy były.

Czy to był strach, że pod boki może nam wyrosnąć silna intelektualnie konkurencja?

Przemysław Fenrych: Pewnie tak.

Pomówmy jeszcze o działalności Komitetu po wyborach czerwcowych. Czy Komitet zakończył swą działalność?

Przemysław Fenrych: Nie, my kontynuowaliśmy działalność. Tam były jakieś zmiany w nazwie, Mietek Ustasiak został senatorem, więc zmieniliśmy przewodniczącego, nowym został Zbyszek Zdanowicz. Po wyborach komitet nabrał znaczenia, takiej lokalnej władzy. Powstała sytuacja, w której urzędnicy, przyzwyczajeni do tego, że wszystkie dyspozycje, wytyczne przychodziły z Komitetu Wojewódzkiego PZPR, nagle zobaczyli, że KW nie liczy się już tak bardzo, a liczy się właśnie Obywatelski Komitet Porozumiewawczy. Oni mieli wgrane w swoich umysłach, że muszą dostać wytyczne, nagle my się staliśmy dla nich nowym komitetem. Wojewoda Malec wyglądał na bardzo spłoszonego. Kiedy spotkałem się z nim jeszcze przed powstaniem OKP, to czuł się dużo większy. Byłem w komitecie organizacyjnym podczas wizyty papieża Jana Pawła II w 1987 roku w Szczecinie. Jako korespondent diecezjalny, odpowiadałem za informację. Chodziłem wtedy na różne spotkania, w których uczestniczył też wojewoda Malec, no i wtedy to było panisko... po wyborach stał się wobec nas bardzo uległy. Mocno się zmienił.

Jak w takim razie układała się współpraca komitetu z władzami?

Przemysław Fenrych: Ja bym powiedział, że przemawiał przez nich strach. Oto zmienia się władza i trzeba słuchać kogoś innego, tylko właściwie nie wiadomo kogo, komu się teraz kłaniać, a komu nie? Jeśli mogli, to chętnie spełniali wszystkie nasze życzenia. Ja w tych spotkaniach brałem mniejszy udział, ponieważ dość szybko zaproponowano mi funkcję w radiu i telewizji, natomiast uczestniczył w tym Włodek Puzyna, Zbyszek Zdanowicz, ale faktycznie czuło się, że ci urzędnicy nie wiedzą jak się zachować. Na wszelki wypadek woleli Obywatelskiemu Komitetowi Porozumiewawczemu powiedzieć „tak”, niż „nie”. Wcześniej mówili na wszelki wypadek „nie”. Czas zmiany odgrywał jednak rolę, nie wiedzieli co będzie...

A w tym czasie, jesienią 1989 r. wyjechałem jeszcze do Francji. Rok wcześniej dostałem stypendium Fundacji Polcul w Paryżu. Poznałem wówczas osobiście ludzi, którzy wspomagali moją rodzinę, kiedy byłem internowany. Mieszkali w jakiejś parafii w Prowansji. Pojechałem ich odwiedzić i podziękować. Od słowa do słowa dogadaliśmy się, że chętnie bym przyjechał na winobranie, po prostu popracować i poznać Francję. Rok później mnie zaprosili, więc jesienią 1989 r. na miesiąc oderwałem się od tego wszystkiego w Polsce i pojechałem do Francji. Niektórzy się dziwili, że wyjeżdżam sobie w tak przełomowej chwili, no ale tak się stało. A gdy wróciłem, to zaproponowano mi szefostwo radia i telewizji w Szczecinie.

Czy to oznaczało koniec Pana zaangażowania w prace Komitetu Obywatelskiego?

Przemysław Fenrych: Gdy zostałem dyrektorem, nie było już na to szans. Formalnie oczywiście byłem członkiem władz Komitetu, od czasu do czasu poszedłem na spotkanie KO, ale zdecydowanie pochłonęła mnie praca w radiu i telewizji. To było całodobowe. To był moloch niesamowity. Próbowaliśmy zmienić system funkcjonowania radia i telewizji i dokonaliśmy pewnych istotnych zmian. Przede wszystkim oddzieliliśmy radio od telewizji. Zmieniliśmy radio w spółkę, nawet w szereg spółek. To było dla nas szalenie istotne. Prezesem Polskiego Radia Szczecin został Zbyszek Kosiorowski, a jego zastępczynią Alina Głowacka, też z OKP. Ja natomiast zostałem dyrektorem Ośrodka Radiowo Telewizyjnego – redaktorem naczelnym telewizji. Telewizja była wówczas niesłychanie zindoktrynowana, to było przez lata główne narzędzie propagandy i to trzeba było zmienić kategorycznie. A ja byłem tam w gruncie rzeczy sam, bo dostałem grono dziennikarzy z tamtego systemu. Mogę powiedzieć że pewne rzeczy zacząłem, a potem środowisko dziennikarzy okazało się wystarczająco silne, by po roku wypchnąć mnie z tego. Ale trochę się udało: zrobiłem nabór młodych dziennikarzy, którzy wkrótce po moim odejściu zaczęli funkcjonować, nawiązałem kontakty z telewizjami regionalnymi w Europie (Circom Regional) i zaczęły pojawiać się na szczecińskiej antenie programy z całej Europy - nasze programy pojawiały się w innych krajach, w Niemczech, Hiszpanii itd... Dotychczas było pół godziny dziennie programu lokalnego, a my dostaliśmy jeszcze dodatkowo w piątek dwie czy trzy godziny. Trzeba było organizować nowe spotkania, dyskusje, wprowadzić nowych ludzi do telewizji, których wcześniej tam nie wpuszczano oraz przekonać dziennikarzy, że teraz z tymi ludźmi trzeba rozmawiać, że trzeba to robić inaczej itd. To była ogromna praca, którą wykonywałem. Rozpoczęliśmy również pracę nad lokalnym, całodobowym programem szczecińskim. Przez jakiś czas funkcjonował program „Siódemka”, który robił już mój następca Jacek Kamiński, ale ja to zacząłem tworzyć. Rozpocząłem szereg rzeczy, ale też z dużą przyjemnością stamtąd odszedłem. To był najcięższy okres w moim życiu, gorszy od więzienia i wszystkiego innego, to był jedyny czas w życiu, kiedy miałem kłopoty z zasypianiem. Pamiętam, że Komitet miał do mnie nawet pewne pretensje, oczekiwano, bym wyrzucił wszystkich reżimowych dziennikarzy, tylko że ja kimś musiałem robić ten program. Nie mogłem tak po prostu wziąć ludzi z ulicy, by zrobili mi program telewizyjny, bo jak? Na dodatek ci, których powinienem wyrzucić w pierwszej kolejności, byli akurat zabezpieczeni, bo albo byli szefami związków zawodowych, albo szefami organizacji dziennikarskich i byli nie do ruszenia. Nie mogłem nic zrobić. Z tym faktycznie miałem pewien problem z OKP. Przyjmowali moją argumentację, ale im się ona nie podobała. W wybory samorządowe już się nie angażowałem, choć idea samorządności była mi bardzo bliska. Chciałem w telewizji zrobić cykl programów edukacyjnych o samorządzie, ale nie udało mi się przekonać władz warszawskich. Nie czuli tematu, a siły ośrodka szczecińskiego były zbyt małe. Później przyszedł czas, kiedy uznaliśmy, że trzeba zlikwidować komitety. Formuła Komitetów Obywatelskich wyczerpała się, przyszedł czas na partie polityczne. Każdy poszedł w taką partię, która była bliższa jego sercu. Część poszła do ZChN, część do Unii Demokratycznej. Ja się już w działania polityczne nie angażowałem – pracując w Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej zająłem się budowaniem samorządnego społeczeństwa obywatelskiego najpierw w Polsce, potem też na Białorusi, na Ukrainie i w Tunezji.